



# STUDZIANKI ECHO



## KWARTALNIK STOWARZYSZENIA ROZWOJU MIEJSCOWOŚCI STUDZIANKA

### Dwa lata minęły jak jeden dzień...

Szanowni Czytelnicy, oddajemy do Waszych rąk kolejny 8 już numer kwartalnika „Echo Studzianki”. Niedługo minie dwa lata odkąd wydaliśmy pierwszy numer czasopisma. Niby to niedługo, ale najważniejsze, że Studzianka ma swoją gazetkę, która ukazuje się regularnie, a duży w tym udział mają Mieszkańcy oraz Czytelnicy.

Ósmy numer jest rozszerzony ze względu na to, iż materiału mamy bardzo dużo i chcemy się nim dzielić z Czytelnikami. W tym numerze kontynuujemy wspomnienia o Studziance. Dzięki kontaktom Sławka Hordejuka oraz jego zamięłowaniu do polskiego lotnictwa, udało dotrzeć się do płk. Mieczysława Janowicza, związanego z warszawskim i poznańskim pułkiem lotniczym. W tym roku skończył 80 lat. Po rozmowie z nim, udało się namówić go na spisanie swoich wspomnień z lat spędzonych w rodzinnej Studziance. W 50. rocznicę śmierci Feliksa Pirogowicza, działacza społecznego, nauczyciela Szkół Powszechnych w Studziance, Dokudowie i Łomazach prezentujemy krótkie wspomnienie o nim. Poza tym, przypominamy postać generała Józefa Bielaka, dowódcę IV Pułku, który

spoczywa na miejscowym mizarze. W numerze nie mogło też zabraknąć wywiadu. Tym razem z ks. Adamem Józefaciukiem, rodem ze Studzianki, a obecnie proboszczem jednej z parafii we Francji. Przedstawiamy również sylwetki młodych entuzjastów sportu i pasjonatów: Sandrę Fuks, Tomasza Ossowskiego, Małgorzatę Bańkowską (Tokarską). Oprócz przeszłości dużo dzieje się w Studziance, jak i w Stowarzyszeniu. Jesteśmy zapraszani na występy, pokazy i prelekcje. W ostatnim czasie gościliśmy (łucznicy, zespół, młodzież) m.in. w Coniewie, Dąbrowie Białostockiej, Tłuścu, Piszczacu, Łomazach, Białej Podlaskiej. Warto zauważyć, że sami Czytelnicy powielają „Echo” i przesyłają dalej do rodzin i osób związanych ze Studzianką i z regionem. Jesteśmy dostrzegani i zauważalni. Piszemy wnioski i aplikujemy o kolejne fundusze. **cd. str 2**

### Tatarska majówka

Maj jak co roku był bardzo bogaty w działalność Stowarzyszenia Rozwoju Miejscowości Studzianka.

Miesiąc ten otwiera sezon łuczniczy. W jego początkach w Studziance gościła grupa rowerowa z Bialskiego Klubu Rowerowego na majówce. Blisko 60 osób mimo deszczu i chłodu dojechało do Studzianki, gdzie zwiedzali wystawę „330 lat osadnictwa tatarskiego w Studziance”. Rowerzyści słuchali z zaciekawieniem Łukasza Wędy i Sławomira Hordejuka, którzy opowiadali o historii Studzianki i Tatarach, którzy mieszkali tutaj przez blisko trzy wieki. W budynku świetlicy rowerzyści osuszyli się i przebrali. Z muzeum cykliści udali się prosto na cmentarz tatarski (mizar) po którym oprowadzali Łukasz Węda i Sławomir Hordejuk. Następnie uczestnicy majówki zasiedli przy ognisku i ciepłym posiłku. Jedni odpoczywali, a inni strzelali z łuku i grali w KUBB. Po kilkugodzinnym pobycie w Studziance uczestnicy rajdu pojechali w dalszą trasę.

W ramach współpracy z Towarzystwem Popularyzacji Piękna Polesia w Kołaczach, gmina Stary Brus, powiat włodawski, członkowie stowarzyszenia gościli podczas Festynu Rodzinnego „Majówka na Polesiu”. Grupa przeprowadziła warsztaty łucznicze.

Dnia 3 maja do Studzianki zawitała wycieczka ze Szkoły Podstawowej w Lubartowie. Dzieci po odwiedzeniu studziańskiej tatarskiej nekropolii grały w KUBB i uczyły się strzelania z łuku.

Z kolei 22 maja w Studziance odbyła się majówka tatarska. Uczestniczyła w niej grupa 61 osób z Siedlce. Goście zwiedzali Muzeum Wsi Podlaskiej Pana Józefaciuka. Odwiedzili mizar tatarski, gdzie słuchali o historii Tatarów na tych ziemiach i samym cmentarzu. Oczywiście nie zabrakło degustacji potraw tatarskich. Obyła się prezentacja filmów promocyjnych o Studziance. Można było spróbować swoich sił w strzelaniu z łuku i grze w KUBB. Dla wszystkich wystąpił zespół biesiadny „Zielawa” ze Studzianki.

Dnia 29 maja członkowie stowarzyszenia uczestniczyli na zaproszenie Dżenety Bogdanowicz z Fundacji „Asman” w tatarskim święcie „Sabantuj” w Kruszynianach koło Białegostoku. Więcej o tym święcie w artykule „Sabantuj 2011”.

Łukasz Węda



Na rozstaju dróg...

Fot. S.H.

## Dwa lata minęły, jak jeden dzień...

Planów jest bardzo dużo. Wszystko w swoim czasie. Czekamy też na uwagi i sugestie dotyczące samego kwartalnika, jak i naszej działalności. Nasz kwartalnik, według potwierdzonych informacji czytają regularnie w Studziance, Łomazach, Białej Podlaskiej, Lublinie, Warszawie, Szczecinie, Berlinie, Australii, Ameryce

Północnej i na Wyspach Brytyjskich. Korespondencja w sprawie umieszczanych artykułów jest ożywiona. Kolejne materiały docierają do nas i czekają na publikację. Zarówno w wersji internetowej, jak i papierowej, „Echo Studzianki” przemierza świat. Wszystko to, co się wokół nas dzieje, to zasługa Was, drodzy Mieszkańcy, bez których

tego wszystkiego by nie było. Zarówno dzieci, młodzież, rodzice i dziadkowie wnoszą wiele do naszych działań. Przygotowania do festynu i prace w świetlicy zasługują na szczególne wyróżnienie. Mieszkańcy w pocie czoła poświęcając swój czas, zdrowie i pieniądze, zawsze wspomagając prace. Chwała Wam za to. Dziękujemy też

wszystkim Darczyńcom bez których spotkanie z kulturą tatarską i regionalną nie miałyby możliwości się odbyć. III Dni Kultury Tatarskiej w dniach 30-31 lipca są bardzo dobrą okazją do spotkań dla tych wszystkich, dla których zarówno Studzianka, jak i kultura tatarska są bliskie sercu.

Łukasz Węda

## Nie umiera ten, kto żyje w pamięci i sercach innych

Pierwsza połowa tego roku przyniosła stratę kilku ważnych postaci dla polskiej nauki i kultury. W lutym zmarł prof. Arkadiusz Kołodziejczyk, a już w maju dotarła do nas wiadomość o śmierci prof. Krzysztofa Grygajtisa, historyka i politologa, który zajmował się m.in. osadnictwem tatarskim w Wielkim Księstwie Litewskim. Natomiast 21 czerwca w wieku 76 lat zmarł prof. Henryk Mierzwiński, historyk, regionalista, miłośnik Ziemi Podlaskiej i Łukowskiej, badacz dziejów Południowego Podlasia. Wspaniały i serdeczny człowiek. Przez wiele lat związany z Akademią Podlaską w Siedlcach, a od 1981r. z Zamiejscowym Wydziałem Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej. Bardzo wyrozumiały dla studentów, młodych historyków i regionalistów. Pod koniec lutego b.r. miała miejsce promocja

Jego książki, dotyczącej historii Białej Podlaskiej w latach 1918-1939.

Z kolei w marcu tego roku zmarła Anna Kajtochowa, poetka, powieściopisarka i dziennikarka związana z Krakowem. Urodziła się w 1928 r. w Brzozowie (woj. podkarpackie). Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Była autorką 21 książek (głównie tomików poetyckich i powieści). Od 1984 r. należała do związku Literatów Polskich. Zmarła 19 marca 2011 r. w Krakowie po długiej ciężkiej chorobie. Dlaczego piszę o Annie Kajtochowej? Otóż miała ona tatarskie pochodzenie, co zawsze przypominała i czym się chlubiła. Zmarła przypominała o tym w kilku swoich wierszach, jak np. „Tatarskie prośby o świat”, „Ponad”, czy „Jam z rodu Nomadów”, który prezentujemy obok.

Sławomir Hordejuć



Anna Kajtochowa (1928-2011)

\*\*\*

*Jam z rodu Nomadów  
Wśród gradu strzał  
przebiłam się na  
otwarte pole  
by samotnie podjąć bój  
o godność i przetrwanie  
nieważne że moje  
ważne że o całe plemię  
rozsiane po świecie  
tu uchodzi  
Rośniemy niby chwasty  
zbuntowane na łąkach  
Pszenicy-gałki  
równego wzrostu i miary  
czasem wybujałe  
najczęściej perzem pełznące  
nieefektywne a skuteczne  
często niszczące  
choć w perspektywie  
zmieniamy grunt  
przygotowując go pod  
nowe uprawy  
bowiem wiążemy  
moce biologiczne  
Niszczeni  
wędrujemy w przestrzeń  
i obejmujemy świeże  
terytoria  
Spalani  
żyznym prochem  
zapełniamy bruzdy  
Odważni niepokonani  
i niepokorni  
wędrownicy wieków  
i wszechświata  
buntownicy  
odwiecznego ładu i porządku  
Nomadowie*

Kraków, 15 I 1994 r.

## Chciałabym wystąpić w Idolu

Sandra Fuks mieszka w Studziance. Jest uczennicą Szkoły Podstawowej w Zespole Szkół w Łomazach. Posiada różnorodne zainteresowania i pasje. Odnosi sukcesy w konkursach.

Sandra swój debiut wokalny miała w szkole w Studziance, podczas przeglądu piosenki angielskiej. W 2010 roku dotarła do finału piosenki angielskiej, jako najmłodsza uczestniczka konkursu w Białej Podlaskiej. Jak dotąd jej największym sukcesem było zajęcie II miejsca w VII Powiatowych Prezentacjach Wokalnych w Łomazach w 2011 roku. W konkursie udział wzięło 43 uczniów z placówek oświatowych należących do powiatu białskiego (m.in. z Łomaz, Rossosza, Piszczaca, Terespoła, Kodnia, Tucznej, Wisznic, Rokitna, Leśnej Podlaskiej, Horodyszcz, Białej Podlaskiej). Soliści startowali w 3 kategoriach: klasy I-III i IV-VI szkoła podstawowa oraz gimnazjum. Każdy z solistów wykonywał po jednej piosence w języku polskim. Jury oceniało przede wszystkim poprawność wykonania utworu, intonację, emisję głosu, dobór repertuaru oraz wyraz artystyczny. Poziom konkursu był dość wysoki i wyrównany, a nad całością czuwało profesjonalne jury w składzie: Jarosław Michaluk (przewodniczący), Andrzej Maziejuk i Dariusz Lipicki (członkowie). Swoją warsztat wokalny szkoli pod kierunkiem Arkadiusza Sawczuka,

instruktora muzyki w Gminnym Ośrodku Kultury w Łomazach. Na pytanie jak to jest występować przed Jury i publicznością odpowiada, że zawsze jest trema i są emocje. Najbardziej lubię słuchać muzyki pop i w szczególności barbadoskiej wokalistki Rihanny dodaje Sandra. Moją idolką jest Ania Wyszkon - zdradza młoda wokalistka. Na pytanie o swoje marzenia nieśmiało odpowiada: Chciałabym wystąpić w Idolu. Oprócz śpiewania pisze wiersze. Recytuje poezję w różnorodnych konkursach. Sandra maluje, a jej prace z powodzeniem biorą udział w konkursach plastycznych. Oprócz tego tańczy i gra w ... piłkę nożną. Warto zaznaczyć, że Sandra ukończyła IV klasę szkoły podstawowej z wynikiem 5,09. Rodzice podchodzą pozytywnie do jej talentu i udziału w konkursach oraz przeglądach. Niech się realizuje - twierdzi Anna Fuks, mama Sandry. W tym roku oprócz I miejsca w szkolnym konkursie piosenki angielskiej, zajęła III m-ce w konkursie na plakat „Podróż po Rosji”. Sandra zaśpiewa na tegorocznym festynie i będzie to jej absolutny debiut przed publicznością w Studziance.



Sandra prezentuje swoje najnowsze trofeum  
Fot. Ł.W.

Ł.W./S.H.



VII Powiatowe Prezentacje Wokalne. Łomazy, 18 maja 2011 r. Sandra Fuks (druga od prawej).

Fot. S.H.

# Pułkownik ze Studzianki

Po raz pierwszy na łamach „Echa Studzianki” prezentujemy wspomnienia Mieczysława Janowicza, pochodzącego ze Studzianki, a mieszkającego obecnie w Poznaniu.

Dzień 1 września 1939 r. powitał nas piękną słoneczną pogodą. Mieszkańcy Studzianki i całej okolicy Białej Podlaskiej widzieli wojnę jak na dłoni. Ja od wczesnego rana siedziałem na dachu stodoły i obserwowałem dymy pożarów po wybuchu bomb w Białej Podlaskiej, ale przede wszystkim walki powietrzne samolotów nad lotniskiem i okolicą. Polskich samolotów dostrzegłem tylko trzy, niemieckich Messerschmitów było dwa razy więcej. Przewaga niemieckich była zdecydowana, ale nasi piloci wykonywali po kilkanaście wiraży. Mając samoloty lepsze i bardziej zwrotne przez kilkanaście minut stawali opór. Nasza artyleria przeciwlotnicza (3 działka) zamilkła wcześniej. Dziwnymi mi się wydaje wspomnienia osób, które dowiedziały się o wybuchu wojny z radia lub ze słyszenia wybuchu bomb. Zanim wkroczyli Niemcy, najpierw pojawili się w Łomazach czerwonoarmiści. Zorganizowali milicję z ochotników Żydów. Wydali im karabiny i czerwone opaski oraz powierzyli im władzę porządkową w okolicy, której nadużywali. Doszło do barbarzyńskiego niszczenia kościoła katolickiego i przykościelnej plebanii, siedziby i miejsca pracy proboszcza. Otóż pod murami kościoła wykopano 21 dołów głębokich ok. 1 m, widocznie z zamiarem wysadzenia go w powietrze. Wnętrze kościoła a szczególnie zakrystia zostały zniszczone. Dewocjonalia zdeptane i zmieszane z błotem leżały na posadzce. Podobnie zniszczona była plebania. Osobiście to oglądałem dwa dni po odejściu czerwonoarmistów. Nie wiem kto dopuścił się tego wandalizmu: bolszewicy czy żydowski komuniści. Jak wiem, ze słyszenia miejscowi ludzie mieli dopuścić się fizycznej przemocy nad Żydami jako zemsty za ich czyny. Dlatego poczuwający się do winy Żydzi ruszyli w ślad za bolszewikami i skryli się pod ich skrzydłami. Wkrótce pojawili się Niemcy. Jako pierwszego zobaczyłem na własnym podwórku żandarma z trzema cywilami, tłumaczem i dwoma pomocnikami. Przyszli rekwirować bydło rzeźne na mięso dla Niemców. Polecono wygonić krowy z obory na podwórko. Żandarm wskazał na piękną, młodą

i mleczną krowę. Matka złapała krowę za szyję i błagała Niemców aby wzięli sobie każdą inną krowę, a tę zostawili jako najważniejszą naszą żywicielkę. Na ten gest matki - żandarm uderzył ją w plecy kolbą karabinu przeklinając szpetnie. Ten cios Niemca pozostanie mi w pamięci do końca życia. Mimo to dzisiaj jestem orędownikiem dobrosąsiedzkich stosunków z Niemcami, Rosjanami i innymi narodami. Naukę rozpocząłem jako uczeń II klasy Szkoły Powszechnej w Białej Podlaskiej. Wśród nauczycieli i uczniów dawało się odczuć przygnębienie z powodu skutków wojny. Nauka odbywała się z przerwami. Szkoła pod okupacją natychmiast zmieniła swoje oblicze. Po pierwsze zabrano nam prawie wszystkie podręczniki, a przede wszystkim do nauki języka polskiego, historii, geografii, itp. Posiadanie podręczników zagrożone było surowymi karami, podobnie jak słuchanie a nawet samo posiadanie odbiornika radiowego. W szkole wprowadzono drakońską dyscyplinę, w tym kary fizyczne. Eugeniusz Dawidziuk wspomina powojennego dyrektora szkoły Daniela, który bił dzieci gumą. W czasie okupacji jesienią 1939 roku kierownik szkoły Dorożyński, na polecenie władz, wyposażył wszystkich nauczycieli w drewniane kije przeznaczone do bicia dzieci i sam te praktyki często stosował. Większość nauczycieli z zażenowaniem przyjęła obowiązek noszenia w szkole kija. Zapasowe pręty drewniane, grubości palca i długości około 1 m zawsze były w pomieszczeniu woźnego, Pana Jana. Byli jednak w gronie nauczycielskim osobnicy skrupulatnie korzystający z narzuconych praktyk dyscyplinarnych. Szczególnie utrwalił mi się w pamięci ksiądz katecheta, prawdziwy sadysta. Poprzedni ksiądz pracujący przed wojną w szkole też był nerwowym i raz skrzyczał mnie i sponiewierał za niechętnie wzięcie od niego listu adresowanego do Walentego Szeniejki. Ale dzieci nie bił. Natomiast przysłany do szkoły ksiądz katecheta był uosobieniem zła. Był to mężczyzna w średnim wieku, szczupły, nosił koźią bródkę i obcisłą, krótką do kolan sutannę. Na lekcjach religii nie tylko bił dzieci za najdrobniejsze przewinienia ale dodatkowo znęcał się stosując przeróżne wymyślone przez siebie tortury psychiczne. Na przykład posiadał wieczne pióro działające jak sikawka. Karanego ucznia wzywał do tablicy przed oblicze klasy i wstrzykiwał mu atrament do nosa, co miało wywołać ośmieszenie go. Inny przykład kiedy uczniowi wypadła czapka spod ławki na podłogę, kazał uczniowi brać czapkę w zęby i na czworakach wykonać dziesięć rund wokół klasy czekając przy tym jak pies. Kolejny przykład karanego ucznia. Przed tablicą smarował atramentem, maczał kawałek bibuły (papieru) w kałamarzu i malował nim plamy na obliczu ucznia: na czole, policzkach, nosie i brodzie. Jeden raz próbował uderzyć ucznia ciężkim przedmiotem. Mianowicie chwycił leżące pod piecem drewno i cisnął nim w kierunku ucznia siedzącego pod ścianą. Na szczęście uczeń szybko schował się pod ławkę, a drewno uderzyło w ścianę powodując odpadnięcie kawałka tynku.

Współczesne media donoszą często o bójkach toczonych wokół stadionów piłkarskich przez pseudokibiców. W okresie międzywojennym i w latach okupacji bójki były powszechnym zjawiskiem. Bójki w tym czasie odbywały się też w Studziance i to nie mniej krwawe niż na Czerniakowie w Warszawie. Kilkakrotnie byłem ich świadkiem. Jedną z najbardziej krwawych odbyła się w dniu odpustu Piotra i Pawła parafii łomaskiej w czerwcu 1940 r. podczas zabawy tanecznej, zorganizowanej u naszego sąsiada Piotra Głowackiego. W tamtych czasach szczególnie nieprzyjemne i napięte były relacje między kawalerami ze Studzianki i Koszoł. Feralnego dnia, kiedy zaczęła się gromadzić młodzież na podwórku u sąsiada spostrzegłem grupę kilkunastu młodych mężczyzn zbliżających się chwiejnym krokiem od strony Koszoł. Przeczuwałem, że będzie się działo coś niedobrego. Tym bardziej, że zauważyłem trzech braci Dawidziaków: Jana, Stefana i Teofila, udających się na zabawę. Byli oni znani z zadziorności. Udałem się na niniejszą zabawę, stanąłem w kącie przy płocie i obserwowałem. Tańce miały się odbywać na podwórku. Rozpoczęły się na godzinę przed zachodem słońca. Mężczyzn było dwa razy więcej niż panien. Stali oni wokół, przeważnie opierając się o drewniany płot. W pewnym momencie posłyszałem krzyk, trzask wyrwanych sztachet z płotu i bicie nimi po głowach. Wówczas pobiegłem do domu. W ślad za mną po kilkunastu minutach przytrucał Janek Dawidziuk. Zawałał: pomóżcie mi, dostałem nożem i osunął się na ziemię. Moja matka natychmiast rozciągnęła prześcieradło na podłodze w kuchni, ściągnęła z rannego marynarkę i ułożyła go twarzą do podłogi. Biała koszula była cała w krwi. Na plecach były cztery rany. Rana najniżej położona była szeroka i otwarta, widać było przez nią nerkę. Matka natychmiast posłała starszego syna po ojca rannego - Bazylego. Dziadek zaś spiesznie zaprzął do wozu klacz i galopem udał się do Łomaz, po felczera z którym przyjechał po godzinie. Felczer zaaplikował zastrzyki, założył opatrunki i owinąwszy rannego w czyste prześcieradło przygotował do transportu do szpitala. Przed felczerm pojawił się ojciec rannego - Bazyli Dawidziuk. Obejrzał syna, potem jego marynarkę i powiedział z wyrzutem: „Łobuz zmarnował marynarkę od prawie nowego garnituru”. Rany odniosło tego dnia kilkunastu imprezowców. Sąsiad Głowacki został ukarany mandatem za zorganizowanie imprezy bez zezwolenia władz. Kara nie była dotkliwa. Okupant był zadowolony, że Polacy wyniszczają siebie wzajemnie. Snując wspomnienie o Studziance w czasie wojny, nie można pominąć sprawy jeńców Radzieckich. Pewnego popołudnia w sierpniu 1941 r. kiedy pasłem krowy pod lasem wyszedł z lasu i podszedł do mnie młody mężczyzna ubrany po cywilnemu. Odezwął się do mnie w obcym języku, ale zbliżonym do polskiego i zrozumiałym. Najpierw zapytał, czy w pobliżu nie ma „Germańców” a następnie powiedział, że jest uciekinierem z kolejowego transportu jeńców radzieckich, ma zwichniętą lewą rękę,





z pochodzenia jest Białorusinem i nazywa się Aleksander Romanow Daniłowicz (zdrobniałe Oleś). Był bardzo głodny i spragniony, prosił o chleb i wodę. Zaproponowałem dla niego, żeby popiłnował bydło, a ja pójdę do domu odległego o około 700 m przyniosę coś do jedzenia. Moja rodzina składa się wówczas z 6 osób: Babcia 83 lata (matka ojca), Dziadek ojciec mamy chory na astmę, ojciec - Hipolit 40 lat, inwalida wojenny z trudem chodził o kuli, mama 35 lat i brat Tadeusz 13 lat. Decyzje o ważniejszym znaczeniu podejmował ojciec. Ponieważ Oleś zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie zaproponowałem, żeby przyjąć go na kolację. Rodzice wyrazili zgodę. Przy kolacji wieczorem ustalono, że zostanie u nas na górze. Okres ukrywania Aleksandra przeciągał się do dwóch lat. Mimo realnego zagrożenia utraty życia przez całą rodzinę za przechowywanie jeńca, nikt z rodziny tego nie żałował.

W moim domu codzienny scenariusz wyglądał następująco. W pomieszczeniu kuchennym około 12m kw. w centralnym miejscu pod oknem, siedział ojciec. W kącie przy drzwiach wejściowych obok kuchni, krzątała się mama przez cały dzień, gotując zupę ziemniaczaną z domieszką kaszy jęczmieńnej. Zupę serwowała okraszanym odrobiną smażonej słoniny z cebulą podając do tego grubą kromkę razowego chleba. Jeńcy, którzy pozostawali na noc kierowani byli do stodoły, gdzie spali w słomie bez pościeli. Wszy przedostawały się z chorych na tyfus jeńców, na członków naszej rodziny. Zachorowała babcia, rodzice oraz ja z bratem. Jedynie dziadek i Oleś byli zdrowymi, ponieważ pędzili bimber i alkoholem skutecznie ratowali się przed chorobami. Rodzice byli zabrani na leczenie do prowizorycznego szpitala w szkole, zorganizowanego w Łomazach. Babcia nie przeżyła. My z bratem pozostaliśmy w domu bez żadnej opieki lekarskiej. Przez 4 dni mieliśmy około 42 stopni gorączki. Nie mogliśmy przełknąć żadnego jedzenia. Byliśmy przez kilka dni nieprzytomni. Jak wykazuje praktyka, dzieci potrafią przeżyć tyfus plamisty bez leczenia. Po wojnie prowizorycznie podliczyłem, że w Studziance wskutek działań wojennych zginęło około 60 osób, drugie tyle zmarło na tyfus plamisty, epidemii. Choć w czasie tej epidemii zmarło

W 1942 roku zaczął rozwijać się masowo zbrojny ruch podziemny w którym dominowała partyzantka. Wspólnie z Ryszardem Sadownikiem, Ryszardem Skibniewski i sąsiadem Tadeuszem Głowackim, tworzyliśmy małą grupę sabotażową. W tym składzie wykonaliśmy operację odcięcia drutów telefonicznych, na odcinku około 100 m, ponieważ z Łomaz przez Studziankę w kierunku Ortela przebiegała napowietrzna linia telefoniczna o drewnianych słupach. Proceder ten przerwaliśmy po pierwszej wpadce, gdy pewnej księżycowej nocy w trakcie akcji na słupach ktoś nas zauważył i wszczął alarm. Rzuciliśmy się do ucieczki z tym, że Ryszard Skibniewski ze strachu nie mógł zejść ze słupa. Był przywiązany pasem i wisiał na haku izolatora. W ten sposób został złapany i zweryfikowany przez jednego z krewnych Ryszarda. Pouchył nas, że nasze wyczyny są niebezpieczne i każdego z nas można było ująć idąc naszymi śladami odcisniętymi na śniegu. W szkole powszechnej ze Studzianki w jednej klasie było nas 4 kolegów. Oprócz mnie, Józef Wibik, syn Michała - Czesław Józefaciuk i Jan Błyskosz - syn Jana. Ten ostatni to postać szczególnie kontrowersyjna. Urodzony w Krotoszynie, syn oficera, w Studziance przeżył tylko czas wojny. Jego matkę mogą pamiętać najstarsi mieszkańcy Studzianki, jako jedyną ekspedientkę w sklepie wielobranżowym położonym w środku wsi. Bohater czy Bandyta? Mój były kolega jako były student II roku UMCS w Lublinie w 1952 roku został skazany na 20 lat więzienia za działalność zbrojnej organizacji terrorystycznej. Szczegółów nie znam, w tym czasie służyłem w wojsku w Warszawie. Józef Wilbik był to człowiek szlachetny, mądry, uczciwy, życzliwy dla otoczenia. Godny popularyzacji i upamiętnienia, po drugie nie było i nie ma drugiego człowieka, który znałby go w latach młodości lepiej niż ja. Przez 12 lat w szkole powszechnej średniej i oficerskiej siedzieliśmy w tej samej klasie, w jednej ławce. Na stacji w Lublinie i Koszarach w Poznaniu mieszkaliśmy w jednym pokoju. Pierwszą i drugą klasę gimnazjum przerabialiśmy prywatnie u Pana Derlukiewicza w Lubence. W naszej klasie oprócz nas uczyła się: Halina Wilbik córka Czesława, Janek Kuźmicki z Lubenki. Trzecią i czwartą klasę ukończyliśmy w gimnazjum im. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej. Po czym przenieśliśmy się do Technikum Społecznego w Lublinie. Tam podchorążowie z Poznania zwerbowali nas do Oficerskiej Szkoły Kwaternistrzowskiej. Co nas skłoniło do tej decyzji? Może częściowo ładne mundury? Ale głównie co innego, mianowicie bieda. Naszych rodziców nie stać było na utrzymanie nas na znośnym poziomie. Werbownicy zapewnili nas że w wojsku można uczyć się na wielu wybranych kierunkach. Słowo się rzekło – kobyłka u płotu. W sierpniu wezwano nas na wojskową komisję lekarską, a następnie na rozmowę kwalifikacyjną i egzaminy wstępne do szkoły oficerskiej w Poznaniu. I tu zaczęły się schody. Egzaminów nie baliśmy się, bo tylko połowa kandydatów była po maturze, reszta po gimnazjum. Groźna dla nas była rozmowa kwalifikacyjna, bo przepytujący nas oficerowie mieli na piśmie każdego z nas opinie sporządzone w miejscu zamieszkania przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa. Mnie mogło dyskwalifikować podanie prawdy w życiorysie że nie utrzymuję kontaktu z granicą i że ojciec jest mało rolny. W rzeczywistości przez kilka lat korespondowałem z braćmi stryjcznymi: Kazimierzem Janowiczem z

Włoch i Bolesławem Janowiczem z USA. Mój przyjaciel Józek z rozmową kwalifikacyjną miał jeszcze większy problem, jego ojciec Michał należał do AK. W czasie amnestii nie zgłosił tego władzom i nie zdał posiadanej broni. W końcu sierpnia 1942 r. został aresztowany przez UB za posiadanie broni. Zapytano go co robi jego ojciec. Odpowiedział że jest rolnikiem. Był przekonany, że to kwestia czasu kiedy otrzyma polecenie powrotu do domu. Tymczasem o dziwo przyjęto nas obu. Choć Józef był bardzo zagrożony. Ojciec został skazany na 5 lat więzienia. W naszej szkole w tym czasie były organizowane czystki. Zwolniono komendanta szkoły, dyrektora i oficerów kilkunastu. Z powodu niesłusznych życiorysów. We wrześniu 1950 r. doczekaliśmy promocji na stopnie oficerskie. Ze względu na wysokie lokaty w konkursie świadectw, otrzymaliśmy przedziały do renomowanych instytucji w Warszawie. Józef został wyznaczony na stanowisko w Wydziale Finansów Oddziału II Sztabu Generalnego w WP a ja na stanowisko szefa służby finansowej specjalnego Pułku Lotniczego na Okęciu. Józef mieszkał w internacie przy ulicy Hożej, gdy go odwiedzałem każdorazowo byłem legitymowany. Józek natomiast musiał co tydzień składać pisemny meldunek z kim się spotykał i o czym rozmawiał. Wreszcie psychicznie nie wytrzymał. Napisał meldunek do szefa wywiadu gen. Komara o ojcu więźniu politycznym i postawił sprawę jasno: chciał zwolnienia ojca z więzienia albo w innym wypadku chciał się zwolnić sam ze służby w wywiadzie. W wyniku spłotu okoliczności jego przełożeni poznawszy go z dobrej roboty nie chcieli się pozbywać wartościowego oficera i zaproponowali mu stanowisko w Departamencie Finansów, gdzie po 18 latach służby osiągnął stopień pułkownika. Ostatnio pełnił służbę na stanowisku szefa oddziału normowania zatrudnienia pracowników cywilnych w resorcie MON. W ciągu ośmiu lat zdał maturę, ożenił się i skończył studia ekonomiczne. Załapał się na pólétatu jako księgowy w spółdzielni budującej domy. Cały dochód przeznaczzył na zakup domu, który zakupił po sześciu latach. Założył pieczarkarnię i dobrze prosperował w tym interesie, który wymagał dużo brudnej roboty. Wówczas grzybica po latach ujawniła się w płucach naszego bohatera. Niestety medycyna okazała się bezradna. Zmarł w wieku emerytalnym. W Warszawie odwiedzałem go co miesiąc w biurze, jednak unikał biesiad i spotkań towarzyskich po pracy, bo był abstynentem. Po godzinach służbowych bywał zawsze zajęty, uczył się, pracował w spółdzielni, hodował i handlował pieczarkami, mimo to był koleżeński i lubiany.

Mieczysław Janowicz (Poznań)

\*Autor wspomnień urodził się 1 stycznia 1931 roku w Studziance. Działacz Stowarzyszenia Seniorów Lotnictwa Wojskowego RP, absolwent Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Służył cztery lata w Specjalnym Pułku Lotniczym w Warszawie. Przez 36 lat służył w Dowództwie Wojsk Lotniczych w Warszawie i w Poznaniu. Podróżował po USA i Kanadzie. Wielokrotnie oceniany i nagradzany. Obecnie mieszka w Poznaniu.

# W Studziance spędziłem najpiękniejsze lata

Wywiad z ks. Adamem Józefaciukiem pochodzącym ze Studzianki, obecnie proboszczem parafii w Ganges k. Montpellier (Francja)

## Jak wspomina ksiądz dzieciństwo i młodość spędzoną w Studziance?

- Ten wywiad pomaga mi uczynić retrospekcję mojego życia. Sięgnąć wspomnieniami do dzieciństwa i młodości spędzonej w Studziance, to wrócić do jednych z najpiękniejszych momentów mojego życia. Pomaga to też stwierdzić, jak te momenty potrzebne są w normalnym rozwoju człowieka. Miałem szansę wzrostu w normalnej rodzinie, gdzie różne pokolenia mieszkali razem, gdzie tradycja i mądrość starszych przechodziła na młodsze pokolenia. Szansą jest położenie naszego gospodarstwa z dala od skupisk ludzkich, pośrodku pól, niedaleko lasu, bliski kontakt z przyrodą, spoglądanie w rozgwieżdżone niebo sprzyja stawianiu egzystencjalnych pytań. Dzieciństwo to zabawy z sąsiadami w sadku; dzieciństwo to bieganie boso po wodzie i błocie; niezapomniana atmosfera; szkoła w Studziance i nauczyciele, którzy przekazali nam z pasją początki wiedzy i czegoś więcej. Dzieciństwo to także moment odkrywania obecności Pana Boga, w przyrodzie i pobożności ludzkiej. Np. nigdy nie zapomnę tego jak cała nasza rodzina w każdą niedzielę udawała się na niedzielną Mszę Św. Mimo, że mieszkamy 7 km od kościoła - był to nasz normalny przejaw wiary. Wspominam nabożeństwa majowe na naszej kolonii, gdy mieszkańcy spotykali się razem by śpiewać litanię do Matki Bożej. Wracając jeszcze do dzieciństwa, to wspominam też nasze pielgrzymki do Kodnia 15 sierpnia. Miłe wspomnienia też pozostawili wszyscy nasi księża, którzy pracowali w naszej parafii i to oni w jakiś sposób dali mi chęć do służenia Panu Bogu i Kościołowi jako kapłanowi. Kościół św. Anny, Msze św. i rozmowy z niezapomnianym ks. kanonikiem Romanem Soszyńskim. Po lekcjach chwile spędzone w kościele św. Antoniego na adoracji przed Najśw. Sakramentem. Zawsze jak jestem w Białej zachodzę tam, aby się pomodlić i podziękować Bogu, że jest ze mną.

## Jak wyglądała droga do kapłaństwa? Czy od dziecka wiedział ksiądz, że zostanie kapłanem, czy była to jakaś nagła decyzja?

- Najpierw była oczywiście nauka w szkole podstawowej w Studziance (lata 1981-1985), potem w Łomazach (1985-90). Następnie I LO im. Ignacego Kraszewskiego w Białej Podlaskiej (1990-1994). Decyzję o wstąpieniu do Seminarium podjąłem w 4 klasie liceum. Po 6 latach studiów i formacji w Wyższym Seminarium Duchownym w Siedlcach obroniłem pracę magisterską na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie na temat „Powołanie świeckich do Apostolstwa”. Święcenia kapłańskie przyjąłem 17 czerwca 2000 r. w katedrze siedleckiej z rąk śp. ks. bp. Jana Wiktora Nowaka. Msza prymicyjna odbyła się w Łomazach 29 czerwca 2000 r.

## Jak znalazł się ksiądz we Francji i jak wyglądały początki duszpasterstwa w obcym kraju?

- Po święceniach, miesiąc zastępstwa w parafii Opatrzności Bożej w Parczewie. Od sierpnia 2000 r. do lipca 2002 r. byłem wikariuszem w parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Radoryżu Kościelnym. Od sierpnia 2002

do lipca 2004 r. byłem na parafii Trójcy Św. w Łosicach. Po 4 latach pracy w Radoryżu i Łosicach, poprosiłem księdza biskupa o zgodę na wyjazd do pracy z emigracją polską we Francji. Było to w roku 2004, po tzw. wstąpieniu do Unii Europejskiej, kiedy to wielu naszych Polaków wyjechało szukać pracy. Naszymi rodakami we Francji opiekuje się Polska Misja Katolicka we Francji, którą założył ks. Jałowiecki i Adam Mickiewicz. W tym roku obchodziliśmy 175 lat Polskiej Misji Katolickiej. Od sierpnia 2004 do lipca 2009 r. byłem w sektorze misyjnym w Fontainebleau (diecezja Meaux) na pld.- wschód. od Paryża. W sierpniu 2009 r. zostałem proboszczem w parafii Paroisse Porte Des Cavernes. Przez 4 miesiące uczyłem się języka na Katolickim Uniwersytecie w Paryżu. W międzyczasie pomagałem w duszpasterstwie francuskim (6 miejscowości) i praca z Polonia w Dammarie Les Lys (polska parafia i szkoła). Po 2 latach biskup powierza mi sektor misyjny (ekipa 5 polskich księży na 26 miejscowości). Obecnie jestem na południu Francji w okolicach miasta Montpellier, gdzie jest skupisko Polaków, dla których z moim kolegą organizujemy opiekę duszpasterską. Jestem obecnie proboszczem parafii złożonej z 11 kościołów. Jestem też Rektorem Sanktuarium Maryjnego Notre Dame Du Suc. Sprawia to, że moją posługę muszę zaadoptować do potrzeb ludzkich i realiów istniejących.

## Jakie jest oblicze francuskiego kościoła/chrześcijaństwa? Co w tym kościele zastanawia, a co budzi nadzieje?

- Obraz kościoła we Francji, jak i w Polsce wynika w jakim społeczeństwie żyjemy. Jest to inny obraz tego samego Kościoła katolickiego i to jest piękne. Należymy do wielkiej rodziny chrześcijańskiej, czy to we Francji, w Polsce, Rosji czy Iraku. Niestety kult posiadania, konsumowania sprawia, że zapominamy o tym co najważniejsze, ale Pan Bóg dyskretnie działa i sprawia, że ludzie wracają. W tym roku przygotowałem i ochrzciłem dwoje dorosłych ludzi. Dwoje przystąpiło do Pierwszej Komunii Św. Widzę, że pragnienie Pana Boga jest zawsze i w każdym z nas. Ludzie muszą się odważyć i postawić sobie pytanie na temat swojej wiary. Myślę, że Kościół we Francji powoli się odradza. Musimy także zrozumieć, że siła pochodzi z kontaktu z Bogiem, modlitwy i czytania Słowa Bożego.

## Jakie trudności towarzyszą pracy we Francji?

- Trudności jakie mam to, że jestem daleko od domu, rodziny i znajomych (2200 km). Brak bocianów i brzoź. Trudności które akceptuję, bo to, że jestem we Francji, to mój wolny wybór, zawsze mogę wrócić. Ludzie mnie tam potrzebują i to daje mi siłę i radość trwania. Gdyby ktoś chciał

zobaczyć, jak wygląda moja praca misyjna to zapraszam na swoją stronę internetową: <http://paroisse.cevannes.free.fr/>

## Jakie posiada ksiądz pasje i zainteresowania poza kapłaństwem?

- Moją pasją żagle, siatkówka, jazda na motorze, wycieczki z plecakiem.

## Co sądzi ksiądz o wydawaniu własnej gazetki w Studziance?

- To jest bardzo dobry pomysł. Dzięki niej możemy dowiedzieć się o ludziach którzy tu mieszkali, a zostali zapomniani. Chciałbym podziękować redakcji oraz wszystkim tym, którzy wspierają jej wydawanie za podejmowany wysiłek. Z każdym numerem czasopismo jest coraz bardziej ciekawe. Ukazuje się coraz więcej materiałów historycznych i wspomnieniowych. Coraz więcej też dzieje się w Studziance. Życzę Mieszkańcom i Stowarzyszeniu dalszych ciekawych inicjatyw i twórczego zaangażowania. Szczęść Boże.

Rozmawiał: Sławomir Hordejuk



# Sabantuj 2011

**Wczesnym rankiem 29 maja 2011 roku w blasku słońca wraz z bratem Mirkiem i Sławkiem Hordejukiem ruszyliśmy ze Studzianki na zaproszenie Dżenetty Bogdanowicz do Kruszynian.**

Im bliżej było, Kruszynian, tym deszcz nas coraz bardziej niepokoił. Ciągłe spoglądanie na horyzont rodziło obawy o Sabantuj. Jak się okazało, na miejscu Dżenett wraz z całym sztabem przygotowała tatarskie święto „Sabantuj” bardzo okazale. Wspomagał ją Departament Rolnictwa i Obszarów Rybackich wspólnie z Departamentem Współpracy z Zagranicą i Promocji Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podlaskiego w Białymstoku. Swoją obecnością zaszczyliła Minister ds. równouprawnienia, Wicemarszałek Województwa Podlaskiego, Wojewoda Podlaski. Wśród przybyłych było oczywiście wielu innych znamienitych gości. Oczywiście władze samorządowe gminy Krynki i powiatu Sokółka. Zaczyna Halina Szahidewicz z zespołem „Buńczuk”, Adam Świerblewski, Musa, Czachorowski, delegacje z Warszawy, Pomorza i innych części kraju. Dla utrwalenia, „Sabantuj” w języku tatarskim oznaczał święto pługa. Łączy w sobie święto prac rolnych oraz piękne zwyczaje, tańce, śpiewy tatarskie. Na

coroczne spotkanie przybyła licznie społeczność tatarska. Padający od rana deszcz tuż przed rozpoczęciem Sabantuj przestał padać i pojawiło się słońce. To wpłynęło na to, że frekwencja wśród przybyłych widzów i turystów była imponująca, jak na małe Kruszyniany. Spotkanie rozpoczęła modlitwa intencyjna o Pokój i Sprawiedliwość na Świecie w miejscowym meczecie. Po zwiedzeniu meczetu i mizaru należało nacieszyć się przygotowanymi atrakcjami. Podczas spotkania z Tatarami można było porozmawiać ze spotkanymi gośćmi o tożsamości, przeszłości i tatarskiej tradycji. Oczywiście atrakcją było całe mnóstwo. Liczne stoiska, kramy i pokazy. Dla smakoszy przygotowana była degustacja potraw kuchni tatarskiej. Do woli można było strzelać z łuku i rzucać oszczepem. Nie zabrakło koni, pokazów i zwiedzania jurty oraz stoisk z rzemiosłem tradycyjnym. Wystąpiły zespoły prezentujące taniec i muzykę orientálną. W konkursie jedzenia puzów na czas wygrał Karol Szutkiewicz przed Piotrem Milewskim i Michałem Michajłowem.

W jedzeniu forszmaków wygrał Antonii Michalski przed Michałem i Magdą Juchnowicz. Jedną z atrakcji był „Pierwszy Ogólnopolski Festiwal Kuchni Tatarskiej w Kruszynianach”, w którym wystartowało 7 drużyn. Należało przygotować z dostępnych produktów popularne tatarskie czeburieki. Pierwsze miejsce na najlepsze kołduny, decyzją jury przyznano dla Pani Róży Bogdanowicz, drugie Marii Radeckiej a trzecie Annie Mucharskiej. W czeburiekach pierwsze miejsce przypadło Paulinie Konwiak i Michałowi Leoniukowi, drugie Elżbietcie Radeckiej i Izie Zameckiej, a trzecie dla Magdy Jucha. Męskie połączone siły Studzianki i Wrocławia mimo starań Mirosława Wędy i Leszka Musy Czachorowskiego, nie zyskały tyle uznania jury aby znaleźć się na podium. Jednak pierwsze doświadczenia zostały zebrane i za rok będzie lepiej. Należy podkreślić, że Dżenett przygotowała fantastyczne spotkanie na które za rok zapewne przybędzie jeszcze więcej osób.

Łukasz Węda



Członkowie Stowarzyszenia przed mecztem w Kruszynianach.

Fot. S.H.

# Feliks Pirogowicz (1894-1961)

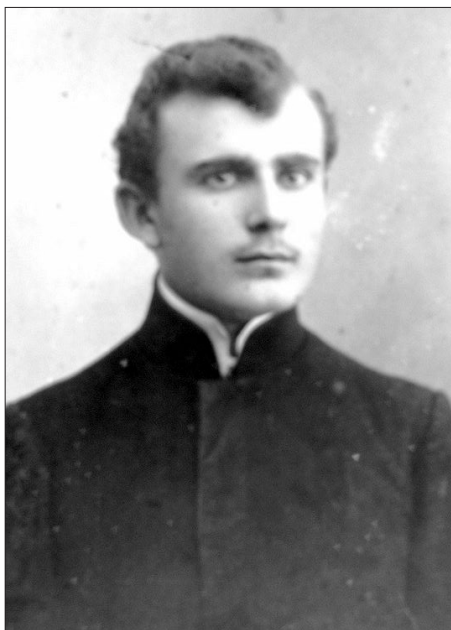
## Wspomnienie w 50 rocznicę śmierci

Studzianka miała i ma szczęście do wielu wybitnych postaci. Jedną z osób, która swoje życie związała z tą miejscowością był Feliks Pirogowicz. Pedagog, dyrektor szkół w Łomazach, Dokudowie i Studziance, wielki miłośnik historii i kultury podlaskich Tatarów.

Feliks Pirogowicz urodził się 20 września 1894 r. we wsi Łyniew koło Wisznic, w rodzinie o szlacheckich korzeniach. Był synem Marii i Emiliana Pirogowiczów. Feliks miał 3 siostry i 3 braci. Gimnazjum Męskie ukończył w Białej Podlaskiej (niegdyś Akademia Bialska, obecnie I Liceum Ogólnokształcące im. Józefa I. Kraszewskiego). Następnie został wcielony do wojska. Ukończył Szkołę Oficerską w Petersburgu. W czasie I wojny światowej walczył na różnych frontach (od Prus, aż po Karpaty), jako oficer armii rosyjskiej. Był m.in. dowódcą kompanii piechoty. Po rewolucji październikowej w 1917 r. został jako nauczyciel zdemobilizowany i powrócił do Polski. W 1918 r. zawarł związek małżeński z Marią Bajrulewicz (1902-1982) ze Studzianki, która również była nauczycielką. Oboje zamieszkali wówczas w Studziance.

### PRACA NA NIWIE PEDAGOGICZNEJ

Po zakończeniu I wojny światowej przenoszą się do Łomaz, gdzie od 1 marca 1919 r. rozpoczynają pracę w miejscowej Szkole Powszechnej. Feliks Pirogowicz zostaje wówczas kierownikiem szkoły, zaś Maria nauczycielką. Pomimo wielu



Lata gimnazjalne. Biała Podlaska, ok. 1913 r. Fot. ze zbiorów Bogumiła Pirogowicza.

trudności, dzięki ich zapałowi i ciężkiej pracy, szkoła zaczęła funkcjonować. Funkcje kierownika szkoły sprawował do 15 lipca 1925 r., kiedy to na własną prośbę wraz z żoną przenoszą się do Studzianki. We wsi nie było jeszcze wtedy szkoły, a nauka odbywała się w prywatnych domach. Od 1 września 1930 r. Feliks Pirogowicz zostaje pierwszym kierownikiem 6-oddziałowej szkoły w Dokudowie. Oprócz niego zatrudniono jeszcze dwie nauczycieli: Marię Karwacką i Marię Pirogowicz. Obowiązki kierownika pełnił do 1935 r., po czym ponownie powraca do Studzianki. W czasie okupacji uczył miejscowe dzieci na tajnych kompletach.

### LATA POWOJENNE

Po zakończeniu działań wojennych, powraca do pracy w szkole w Studziance, będąc nadal jej kierownikiem. Jednak po kilku latach, ze względu na zły stan zdrowia, przechodzi na emeryturę. Do ostatnich dni swego życia opiekował się mizarem, po którym oprowadzał liczne wycieczki szkolne. Zmarł 29 listopada 1961 r. w Studziance. Pochowany został na Cmentarzu Parafialnym w Łomazach. Z małżeństwa z Marią Bajrulewicz miał trzech synów: Romualda (1923-1941), który zmarł na tężec w czasie okupacji; Bogumiła (1934-2009) i Emiliana Mariana (ur. 1925 r.), ucznia liceum administracyjnego w Brześciu oraz absolwenta tajnych kompletów Liceum Pedagogicznego w Leśnej Podlaskiej. W szkole tej ukończył (rok 1944-45) kurs nauczycielski. Następnie absolwent studiów prawniczych w Łodzi.

W rozmowach ze starszymi mieszkańcami wsi Studzianka, bardzo często pojawia się osoba Feliksa Pirogowicza. Pomimo, że nie pochodził ze Studzianki, jednak większość swojego życia złączył z tą miejscowością. Przez ponad 40 lat działał na rzecz lokalnej społeczności, angażując się w szereg przedsięwzięć. Wraz ze swoją żoną – Marią Bajrulewicz, wychował kilka pokoleń wspaniałych Polaków. Poprzez przekazywaną wiedzę o dziejach Studzianki, w wielu osobach zaszczepił miłość do swojej małej ojczyzny. Stąd osoba Feliksa Pirogowicza może być dziś wzorem dla wielu młodych nauczycieli.

Sławomir Hordejuk



Grób Feliksa Pirogowicza na Cmentarzu Parafialnym w Łomazach. Fot. Sławomir Hordejuk

#### Bibliografia:

- Urząd Stanu Cywilnego UG Łomazy. Akt zgonu Feliksa Pirogowicza.
- Konopacki M. „O muzułmanach polskich” [w:] „Przegląd Orientalistyczny” 1962, nr 3, s. 226.
- Koziara E. „70-lecie szkoły w Dokudowie” [w:] „Słowo Podlasia” 2000, nr 44, s. 12.
- Kronika szkoły w Łomazach, s. 10.
- Relacja pisemna Bogumiła Pirogowicza (syna) z dn. 12 maja 2007 r. (w zbiorach autora).
- Sroka J. „Opowieści z Podlasia. Pod znakiem półksiężyca (2)” [w:] „Słowo Podlasia” 1987, nr 5, s. 7.
- Świąder J., „Tam, gdzie żyli Tatarzy Rzeczypospolitej” [w:] „Głos Pomorza” 1984, nr 209.



# Józef Bielak (1729-1794)

## Generał i dowódca 4 Pułku Przedniej Straży Wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego

Będąc na mizarze w Studziance można natknąć się na niewielki nagrobek, z którego można odczytać tylko datę 1794. Reszta napisów jest w języku arabskim. Kilka lat temu arabiście prof. Markowi M. Dziekanowi (Uniwersytet Warszawski) udało się odczytać te inskrypcje. Potwierdził, że niewątpliwie jest to grób gen. Józefa Bielaka, dowódcy IV Pułku Przedniej Straży Wojsk Wlk. Ks. Lit. W tym roku mija 216 rocznica jego śmierci. Warto byłoby zatem przypomnieć koleje



Ułan-oficer 4 Pułku gen. J. Bielaka.

życia jednego z najdoskonalszych dowódców tatarskich, związanego z naszym regionem. Józef Bielak urodził się w 1729 r. w Łowczycach k. Nowogródka. Był synem porucznika Osmana Bielaka i Reginy z Rudnickich. Mając zaledwie kilkanaście lat, postanowił poświęcić się służbie wojskowej. Początkowo służył jako chorąży w pułku gen. Czymbaja Murzy Rudnickiego. W wieku zaledwie 19 lat otrzymał awans na rotmistrza. W latach 1761-1762 jego pułk walczył podczas tzw. siedmioletniej wojny na Śląsku, w Czechach i Saksonii. J. Bielak otrzymał wówczas od cesarzowej austriackiej Marii Teresy order za waleczność. W 1763 r. zostaje awansowany na stopień pułkownika. W dowód zasług wojennych 23 marca tego samego roku król August III nadaje mu dożywotnio 46 włók ziemi w Koszozłach (pow. bialski).

Od momentu przybycia na Południowe Podlasie, Józef Bielak był najbogatszym z bialskich Tatarów. W kolejnych latach wszedł również w posiadanie Kościeniewicz i Wólki Kościeniewickiej (w 1783 r.), a także wsi Połoski i Trojanów oraz ziemi w Studziance i Ortelu (Królewskim). Skupiając tak rozległe dobra ziemskie był człowiekiem zamożnym i stąd jego rodzina nie musiała pracować na roli. W 1764 r. został komendantem IV Pułku Przedniej Straży Wojsk Wlk. Ks. Litewskiego.

W 1764 r. pułk J. Bielaka brał udział w walkach domowych w okresie bezkrólewia, wyróżniając się w bitwach pod Krosnem i Brzozową. Już 1766 r. został przedstawiony przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego do awansu na generała-majora (tytularnego) lecz otrzymał go dopiero w 1772 r. W czerwcu 1769 r. w Brześciu nad Bugiem przyłączył się do związku szlachty w ramach Konfederacji Barskiej.

W latach 1782-1787 pułk Bielaka stacjonował w Kamieńcu Litewskim k. Brześcia. Szczególnie gen. Józef Bielak wyróżnił się w kampanii 1792 r. Zarówno Bielak, jak i płk Jakub Azulewicz (1731-1794) ze Studzianki, jako jedni z pierwszych zgłosili przystąpienie do Powstania Kościuszkowskiego 1794 r.

Za niezwykle męstwo i odwagę J. Bielak odznaczony został Krzyżem Virtuti Militari (1792). Materiały źródłowe podają, że z dwóch małżeństw gen. J. Bielaka przyszło na świat 13 dzieci. Pierwszą jego żoną była Urszula

z Łosiów z którą miał syna Abrahama (w 1793 r. porucznika). Po jej śmierci ok. 1763 r., ożenił się z Kunegundą z Tuhan Baranowskich, z którą miał 12 dzieci (9 synów i 3 córki), m.in. Samuela (w 1794 r. podpułkownik, zmarł w 1823 r.), Mustafę (ur. ok. 1764 r., w 1794 r. rotmistrz, zm. 1834 r.), Machmeta (w 1792 r. porucznik), Albrycht (w 1795 r. porucznik), Osmana (w 1795 r. chorąży), Solimana (porucznik), Bekiera, Eliasza, Elżbietę, Ewę i Felicjanę. Kilku synów generała służyło w pułku ojca, m. in. Abraham, Machmet, Mustafa i Samuel. Gen. Józef Bielak zmarł w czerwcu 1794 r. i pochowany został na mizarze w Studziance. Był doskonałym i operatywnym dowódcą, doskonale orientującym się w sytuacji w czasie walk. Potrafił bardzo szybko ocenić sytuację bojową oraz błyskawicznie podejmował decyzje. Warto na koniec nadmienić, że niedaleko Krakowa żyje potomek generała, który zachowuje pamięć o swoim wielkim przodku.

Sławomir Hordejuk



Grób gen. Józefa Bielaka na mizarze w Studziance.

Fot. S. H.

## Szanujmy wspomnienia (3)

Na łamach naszego kwartalnika publikujemy kolejną część wspomnień Henryka Kozuchowskiego, byłego mieszkańca Studzianki. Tym razem są to wspomnienia z lat nauki w Szkole Powszechnej oraz Liceum Pedagogicznym w Leśnej Podlaskiej. Życzymy przyjemnej lektury.

Dożyłem 6 roku mego żywota, posłano mnie do szkoły. Trochę wcześniej, ale tato z panem nauczycielem (był jeden - p. Feliks Pirogowicz, jeszcze sprzed wojny) uzgodnili, że mogą podolać trudom nauczania. Stałem się uczniem.

Dziwna to była szkoła. W wynajętej izbie u miejscowego gospodarza (w tym czasie był to p. Niczyporuk – dom na samym końcu wsi) mieściła się czteroklasowa szkoła (za okupacji tylko takie szkoły mogły być organizowane) z około 50 uczniami w różnym wieku. Elementarza ani innych podręczników nie było, zeszytów też nie. Zamiast zeszytów, kupowało się tabliczkę z rysikiem. Była to gładka tabliczka z łupka, wielkości kartki od zeszytu. Z jednej strony tabliczki naniesiony był rysunek kratki, z drugiej linii. Całość oprawiona w drewnianą ramkę z dziurką na sznurek, umożliwiającą powieszenie tabliczki na szyi. Napisany rysikiem tekst czy liczby, po sprawdzeniu przez nauczyciela, ścierało się wilgotną szmatką albo prościej - poślinionym palcem.

Przez cały okres edukacji w Generalnej Guberni, dozwolonymi do użytku w szkole była książka „Czterdzieści nowych bajeczek” i gazetka „Ster” ukazująca się dwa lub cztery razy do roku, dokładnie nie pamiętam. Przez trzy lata nauki, jedyny podręcznik znałem na pamięć od deski do deski. Do nauki rachunków nie było żadnych podręczników. Zadania wymyślał sam nauczyciel (może pomagał sobie podręcznikami z przed wojny, ale o tym nikogo nie informował). Ale nikt nie narzekał, ani nauczyciel, ani uczniowie, ani ich rodzice. Często w szkole pojawiały się jakieś książki historyczne, geograficzne

„(podróżnicze) zaczytywane przez kolejnych uczniów aż do ich fizycznego zniszczenia. Mimo nie najlepszych warunków, poznałem podstawowe zasady pisowni, nauczyłem się czytać, pisać i liczyć. Po ukończeniu trzeciej klasy, spotkało mnie wielkie nieszczęście. Mój ojciec został zastrzelony przez Niemców.

Po zakończeniu wakacji, nadal uczęszczałem do szkoły. Nadchodzi wyzolenie. Szkołę w Studziance władze przemianowały na pięcioklasową. Następuje zmiana lokalu w którym odbywa się nauka – jest to dom p. Bańkowskiego (naprzeciw kuźni kowala Bańkowskiego, ale z innej rodziny). Ponieważ to tego domu przyznawało się dwóch właścicieli, to też następowały przenosiny zajęć lekcyjnych z jednej strony sieni, na drugą, by na końcu wymówić dzierżawę lokalu. Było to pod koniec roku szkolnego. Przez prawie dwa miesiące lekcje odbywały się, w pustej na przednówku, stodole p. Stanilewicza. Dotychczasowa siedziba szkoły w wyniku ciągnącego się sporu zwaśnionej rodziny, została podzielona – dosłownie, budynek został przepiłowany na pół i jedna część rozebrana.

W międzyczasie uczęszczałem na „naukę” przygotowującą do przystąpienia do Pierwszej Komunii. Nauka odbywała się w kościele w Łomazach. Nauczał miejscowy proboszcz, który na palcu prawej ręki nosił duży metalowy klucz od kościoła. Niesfornych lub tępowych uczniów chwycił za ucho lewą ręką, a kluczem na prawej ręce uderzał w napięte ucho. Było to bardzo bolesne, a czy pomagało pojąć zawiłe tajemnice katechizmu, nie bardzo wierzę. Z obrzędu przyjęcia Pierwszej Komunii nie mam żadnych pamiątek (nie



### Początki mojej edukacji

było zwyczaju zakupu obrazków) poza małym zdjęciem w stroju komunijnym.

Po wakacjach szkoła znalazła przytulisko u państwa Pirogowiczów. Lekcje odbywały się w jednym pokoju. Za szatnię i miejsce odpoczynku na przerwach służyła oszklona weranda, a latem lekcje biologii odbywały się



Moja klasa. Nauczyciele siedzą od lewej: p. Szyć, p. Maria Raczyńska, p. J. Kaczyńska, w środku kierownik szkoły p. Stanisław Danielak, dalej p. Alojzy Graca, p. Kalita, p. A. Bańkowski. Ja stoję powyżej p. Bańkowskiego.



### Liceum Pedagogiczne w Leśnej Podlaskiej

w ogrodzie p. Pirogowiczowej przy sadzeniu, pielieniu, podlewaniu marchewki, pietruszki, groszku, itp.

Na następny rok szkoła przeniosła się do p. Gąski, który specjalnie wyciął osobne wejście, dobudował przedsionek, a część placu koło budynku przeznaczył na boisko.

Po skończeniu piątej klasy, na dalszą edukację muszę chodzić do szkoły siedmioklasowej, która mieści się w Łomazach. To prawie 3 km, które codziennie należy przemierzyć, ale co to dla młodego człowieka, zwłaszcza, że, chodzimy gromadą wspólnie z kolegami. Na zabicie czasu, wymyśliłiśmy sposób – każdy wypożyczał ze szkolnej biblioteki jeden tom Trylogii Sienkiewicza (w bibliotece było wydanie Trylogii w formacie kieszonkowym – mały format A5 rozbity na chyba 40 tomików) i po przeczytaniu opowiadał jego treść w czasie spaceru ze szkoły do granic Studzianki. Szczególnym narratorem był Marczuk, Tadek albo Kazek, imienia nie pamiętam, którego opowiadania były ilustrowane gestami, mimiką i tworzeniem sytuacji jak w powieści. Gorzej było gdy przyszła jesień i zima. Plucha, chłód to najgorszy czas wśród dochodzących dzieci. Nie wszystkich stać było na dostatecznie ciepłe ubrania i dobre buty. Do takich dzieciaków również należałem. W ramach oszczędności (czytaj braku pieniędzy) matka kupowała buty jak najtańsze a tym samym nie najlepsze. Po dość krótkim czasie zaczynały a to się pruć, a to podeszwy odklejać. Szczególnie wiele mogę zawdzięczać p. Janowiczowi, szewcowi ze Studzianki, który mi za darmo zaszywał, kleił i przybijał sfatygowane obuwie. Z radości jakie przynosi zima, można mienić sposób podróżowania do szkoły w Łomazach. Ponieważ przed zimą rzeka Zielawa rozlewała się na okoliczne łąki, a mróz ścinał rozlewiska lodem, w większości dochodzący uczniowie, przypinali do nóg лыжы i hajda do szkoły. Лыжы to były bardzo specyficzne, tzw. kopytka, czyli kawałek drewna wielkości buta, podbity metalowym prętem, rączką od wiadra a w szczególnych wypadkach rantem od kosy. Te ostatnie to były bardzo luksusowe лыжы. To drewno przymocowywało się sznurkami do buta i jazda na lód. Droga mimo że dłuższa, przebiegała szybciej i przyjemniej. Nie odbyło się też bez wypadków. Zalewane łąki były terenem torfiastym, wydzielającym

gaz błotny. Dlatego w czasie zamarzania tworzyły się w lodzie bąble gazowe, nieraz umieszczone tuż pod powierzchnią lodu. Nad takim bąblem lód był cienki i kruchy. Mnie zdarzył się wypadek, że najechałem na taki bąbel, jedna лыжа przecięła lód, druga pojechała dalej, upadłem w tył na rękę, mały chrupot i ręka złamana. O szpitalach się nie myślało, tam jechało się umierać, a takie drobnostki jak złamanie ręki, leczyli miejscowi znawcy. Zostałem zaprowadzony do takiego wiejskiego specjalisty, ten obejrzał rękę, przy pomocy swego syna i mojej matki, ponaciągali mi złamaną rękę, owinęli bandażem z kawałka prześcieradła, obłożyli łupkami z drewnianych deseczek i kazali czekać aż się zrośnie. Ponieważ była to prawa ręka, musiałem szybko nauczyć się posługiwać лыжы, nożem i piórem lewą ręką. Poza pisaniem, leworęczność nie przeszkadza mi do tej pory.

Te kilka lat edukacji w szkole w Łomazach

minęło szybko. Brałem czynny udział w życiu ZHP. Typowano mnie na obozy harcerskie, cóż sytuacja finansowa nie pozwalała na zdobycie odpowiedniego ekwipunku wymaganego przy wyjazdach. Na żaden obóz nie pojechałem.

Pamiątkowe zdjęcie klasy VII, uczniów wraz z nauczycielami przedstawiam we wspomnieniach.

Nazwisk uczniów nie jestem w stanie wymienić, nauczyciele siedzą od lewej: p. Szyc, p. Maria Raczyńska, p. J. Kaczyńska, w środku kierownik szkoły p. Stanisław Danielak dalej p. Alojzy Graca, p. Kalita, p. A. Bańkowski. Ja stoję powyżej p. Bańkowskiego. Zasób wiedzy zdobytej w szkole był sprawdzany przez niektórych nauczycieli w specyficzny sposób. Pan Graca wyciągał z nieodłącznej teczki kawałek gumowej izolacji z kabla elektrycznego i walił po plecach, zwłaszcza po ich dolnych partiach, natomiast pan kierownik używał do utwierdzania wiedzy, długiej półmistrzowskiej linijki. Niesfornemu uczniowi kazał wyciągnąć lewą rękę i z zamachem przykładał linijkę.

Tak zakończył się pierwszy etap mojej edukacji. Stałem przed dylematem, co dalej? Miałem ciągotki do ślusarki, majsterkowania. Chciałem dostać się do jakiejś szkoły mechanicznej. W pobliżu była takie szkoły - w Białej i w Żalutyniu. Do pierwszej nie było miejsc a druga cieszyła się złą opinią. Mówiło się, że jak ktoś nigdzie się nie dostał, to może iść do Żalutynia. Ja nie chciałem być takim ostatnim. W gazetach wyczytałem o szkole mechanicznej z internatem w Jasińcu koło Piaseczna. Po niewielkich naradach, razem z Władkiem Ejsmontem wyruszamy szukać szczęścia w świecie. A był to dla nas świat dotychczas nieznan. Ze Studzianki wyruszamy na piechotę do Białej Podlaskiej gdzie po raz pierwszy w życiu wsiadamy do pociągu pędzącego do Warszawy. Pełni wrażeń z podróży dojeżdżamy do celu - Warszawa Gdańska. Dworcem nie jesteśmy onieśmieleni, drewniany barak jakich było pełno na obrzeżach lotniska w Białej. Gorzej z dalszą podróżą. Mamy z dworca Gdańskiego dostać się na dworzec Warszawa Służewiec, a



Załoga kina w Leśnej: ja - operator, Szczepcio - kierownik i opiekun

to znaczy przejechać całą Warszawę z północy na południe. Z duszą na ramieniu wsiadamy do tramwaju (też po raz pierwszy) i po kilku przesiadkach osiągamy cel - dworzec kolejki grójeckiej, który już nazywa się Warszawa Południowa. Zajmujemy miejsca w ciuchci i dojeżdżamy do stacji Jasieniec. Wsiadka i poszukiwanie gdzie się znajduje ta wymarzona szkoła z internatem.

Na miejscu sprowadzono nas na ziemię, bo jak się okazało, do tej pory bujaliśmy w obłokach. Nikt na nas nie czekał z miejscami w szkole a tym bardziej w internacie. Zażądano wielu papierków, których siłą rzeczy nie mieliśmy, nie mieliśmy żadnej decyzji o przydziale miejsca w internacie ani o przyjęciu do szkoły. Na dokładkę nie było ani dyrektora ani jego zastępcy i jedyna urzędująca osoba - sekretarka, w prosty sposób wybiła nam z głowy naukę w tej szkole. Nie pozostało nam nic innego jak zwiwać na dworzec i wracać do domu. Podróż powrotna przebiegała raczej bez zakłóceń. Już byliśmy przecież bywałcami dworców i wagonów kolejowych, tramwajowych i wąskotorowych. Doszło doświadczenie z nocowaniem na ławkach dworcowych. Były też momenty rozrywkowe. Czekając na dworcu Gdańskim, na pociąg do Białej, byliśmy świadkami jak na peron wjechał pociąg z wojskiem radzieckim. Zaraz zaroilo się na peronie od żołdatów, znalazła się harmoszka i rozpoczęły się tańce takie jak czastuszki, kazaczok i inne w wykonaniu i żołnierzy i oficerów. Ale parowóz zagwizdał, wszyscy szybko wskakiwali do wagonów i odjechali. My czekaliśmy dalej na naszą kolej więcej hałd gruzu. Ulica którą jechaliśmy na południe, nosiła nazwę Marcelego Nowotki, leżała całkiem w gruzach.

Po zakończeniu eskapady po naukę, zacząłem rozglądać się co robić na miejscu. Na początek dla zabicia czasu pomagałem trochę murarzowi, p. Simonowiczowi, murującemu budynek szkoły w Studziance. Lasowałem wapno, układałem cegły,

poszukiwałem kamieni. Z tym ostatnim wiąże się cząstka historii wsi. Szukaliśmy kamieni z fundamentów meczetu. Ostrym prętem trzeba było dźgać ziemię raz koło razu, aż szpikulec trafił na głaz, wtedy za łopatę i odkopywać kamień. Były to solidne głazy. Układały się te kamienie w kształt prostokąta, tak jak stał meczet. I co dziwne, w taki sam prostokąt rosły brzozy, które same się zasiały. Z między rosnących brzoź wydobywaliśmy kamienie stanowiące podstawę spalonego meczetu. Wydobyte kamienie wykorzystano jako wypełnienie dołów na fundamenty szkoły. Za namową dalekiego krewnego, Antoniego Karwackiego, prowadzącego piekarnię w Łomazach, próbowałem szczęścia w zawodzie piekarza. Już wkładanie chleba do pieca, wyciąganie go z pieca, smarowanie „dla glanzu” wodą z mąką i cukrem szło mi nie najgorzej, to miałem duże kłopoty z zarabianiem ciasta. Kasta na ciasto była wysoka, ja niezbyt wyrosły, musiałem pod nogi podstawić sobie stołeczek. Raz zagapiłem się, stołeczek się zachwiał i dałem nura do kasty z ciastem.

## Dalsza edukacja – szkoła średnia

Praca w piekarni miała jeszcze inną dobrą stronę. Antek Karwacki był czynnym członkiem partii. Po kilku rozmowach z sekretarzem komitetu gminnego postanowiono wydelegować mnie na nauki do szkoły. Wybór padł na Liceum Pedagogiczne w Leśnej Podlaskiej. Na wybór złożyło się kilka przyczyn. Po pierwsze - dyrektorem był też działacz partyjny, po drugie - szkoła miała internat i jeszcze wolne miejsca. Komitet gminny wybrał dwie pól sieroty ze swego terenu - mnie i Gienka Kloczkę, którego ojciec zginął w utarczkach zwaśnionych grup partyzanckich. Pojechaliśmy więc do Leśnej. Skierowania z Komitetu Gminnego okazaliśmy dyrektorowi, który akurat wybierał się bryczką do powiatu, ten zrobił nam z bryczki egzamin wstępny, (termin właściwego egzaminu już dawno minął) i zostaliśmy przyjęci do szkoły. I stało się tak jak w piosence autorstwa p. Turkowskiego, późniejszego mego wychowawcy:

„... wzięłem węzełek, żelazne łózko, koc i to wszystko co znacze powędrowałem pośpieszną ciuchcią, znalazłem się w internacie...”

I zaczęła się edukacja. Trafiłem do klasy „ID”. Wychowawczynią była pani, o jz pamięcią to nie jest za dobrze, ale popularnie zwana „ciotką”. Słynęła z tego, że za każdą wypowiedź stawiała ocenę w swoim notatniku. Tych ocen każdy z uczniów miał po kilkadziesiąt. Była to chyba pani Joanna Ostrowska.

Zaczęły się problemy finansowe. Za internat trzeba było płacić. Jakies niewielkie pieniądze miałem, ale to wystarczyło na dwa czy trzy miesiace. Przez dyrekcję szkoły i kuratorium w Białej Podlaskiej zostałem wytypowany na wychowanka domu dziecka. Trafiłem do Państwowego Domu Dziecka w Bystrzycy. Na dobrą sprawę nawet nie wiedziałem gdzie ta Bystrzyca się znajduje. Ale od czego jest język. Powoli dopytując się, gdzie się dało. Ustaliliśmy, że Bystrzyca znajduje się koło Lublina. Trzeba dojechać do stacji Niemce i stamtąd już niedaleko na miejsce.

Za zgodą dyrekcji szkoły, wybrałem się na rekonesans przed zakończeniem roku szkolnego. Podróż to była jak wielka wyprawa. Z kilkoma przesiadkami, znalazłem się na stacji kolejowej Niemce k/Lublina. Wsiadłem i dalej szukać, gdzie jest ta Bystrzyca. Jakaś pracownica PKP przypomniała sobie, że to chyba gdzieś w tamtą stronę i tu pokazała palcem stronę świata. Ponieważ nie miałem innego informatora, udałem się we wskazanym kierunku. Drogami, dróżkami, miedzami i przez pola wędrowałem co pewien czas pytając spotkanych ludzi o cel mojej podróży. O dziwo, po kilku godzinach stanąłem przed pałacikiem, trochę przypominającym Belweder, z czerwoną tablicą: Państwowy Dom Dziecka w Bystrzycy. Moje szczęście było ogromne.

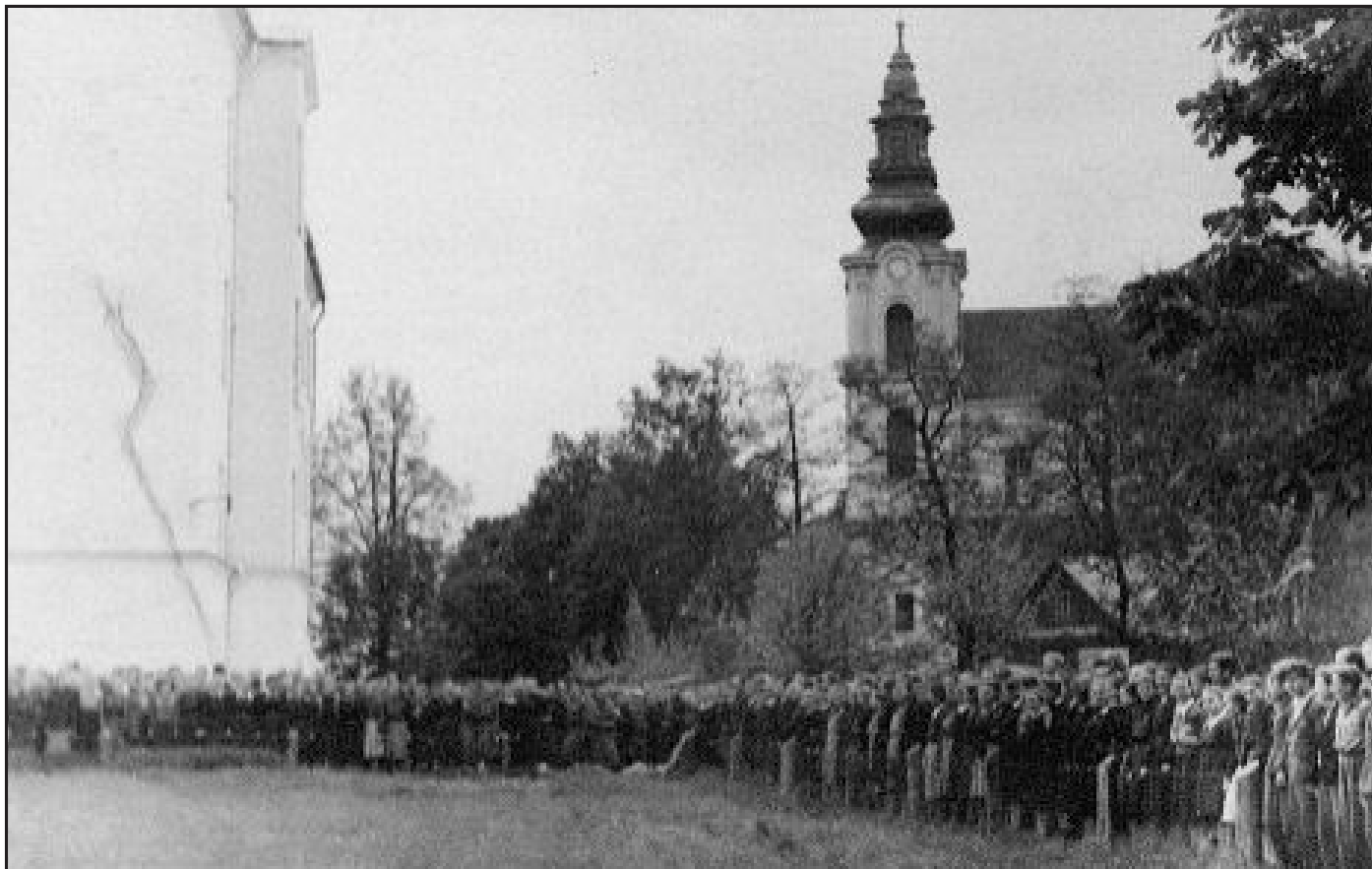
Zostałem obokoczonny przez kilkunastu maluchów, doprowadzony do kierownika, jak pamiętam, nazywał się Holtoś i po przedłożeniu posiadanych papierków, przyjęty do grona wychowanków.

Zanocowałem w zbiorowej sali, liczącej kilkanaście łóżek i powoli zawierałem dalsze znajomości. Trochę pomagałem przy pilnowaniu maluchów (bo przecież byłem załóżkiem przyszłego pedagoga!), trochę pomagałem przy uprawie ogrodu, nieźle jadłem i odpoczywałem. Po kilku dniach zebrałem manatki (jako wyposażenie otrzymałem coś z ubrania, jakieś buty i parę złotych na zakup reszty przyodziewku i pomocy szkolnych. Było to dużą pomocą, dla mnie nie mogącego liczyć na inne źródła dochodu. Wspomnę jeszcze, że Dom Dziecka opłacał mój pobyt w internacie. Zostałem zaproszony na całe wakacje do Domu Dziecka. Ponieważ do wyboru miałem pobyt w miejscu zamieszkania i pozostawanie na utrzymaniu matki albo pobyt w Domu Dziecka wybrałem to drugie.

W czasie wakacji, wszyscy mieszkańcy Domu Dziecka, brali udział w zbiorze chmielu u miejscowych plantatorów. Praca ta nie była fizycznie ciężka, miała tylko jeden feler, ręce stawały się tak lepkie, że nie można było niczego dotknąć. Po zakończonej pracy, umycie rąk nie było sprawą prostą, najlepszym środkiem był piasek i bieżąca woda. Ale cóż to znaczy dla młodych, chętnych do pracy, wesołych uczniaków. Zwłaszcza, że



Internat i Szkoła ćwiczeń



### Poranny apel w leśniańskiej szkole

w perspektywie zarobione pieniądze miały zaowocować jakąś wycieczką. I tak się stało. Po zakończeniu sezonu zbioru chmielu, wszyscy wychowankowie, wraz z opiekunami, pojechali na wycieczkę do Warszawy i okolic. Och co to była za frajda.

Po powrocie z wycieczki, pożegnałem się z bardzo miłymi wychowawcami i sympatycznymi wychowankami i wróciłem na krótki czas do rodzinnego domu, do matki aby z początkiem roku szkolnego ponownie znaleźć się w internacie i zabrać się do nauki. Szczęście się do mnie trochę uśmiechnęło. Jako że byłem posiadaczem aparatu projekcyjnego po ojcu, dostałem propozycję posady operatora Wiejskiego Kina Półstałego Nr 25. Oczywiście posadę tą przyjąłem z zachwytem. Z Lublina przywieziono nową aparaturę kinową (AP-11) do tego stary agregat prądotwórczy, udzielono mi instruktażu jak zakładać taśmę filmową na projektor, jak włączyć projektor a w razie jak coś się popsuje „to proszę przyjechać do Lublina z uszkodzonym sprzętem”. Z tej propozycji niedługo musiałem skorzystać. Po kilku seansach aparat odmówił posłuszeństwa. Zabrałem blaszaną skrzynię z aparatem, ważącą dość sporo i z pewnym strachem pojechałem do Lublina. Szczęściem w nieszczęściu była niewielka odległość od dworca kolejowego do warsztatów, bo targanie aparatu było dość uciążliwe. Po przybyciu na miejsce, mechanicy obejrzeni aparat, pozagląдали od dołu i z boku i z groźną miną orzekli: „A coś Pan robił sobie z kina dyskotekę czy co?, podłączyli aparat do prądu i ten zaczął wygrywać melodie popularnych piosenek. Zdębiałem, bo przecież nic sam nie robiłem a tu masz babo placek, z aparatu filmowego zrobił się radiowęzeł. Po pewnej chwili, mechanicy widząc moją

przestraszoną i zakłopotaną minę, zaczęli się uśmiechać i wyjaśnili, że w aparacie przepalił się bezpiecznik, który mogłem sam wymienić i nie musiałem fatygować się do warsztatów. Tak, dobrze mówić jak ktoś wie, a dla początkującego, frycowe trzeba zapłacić. Trochę pouczono mnie jak postępować w drobnych awariach, trochę wypisano części do napraw i zabrałem się z powrotem do Leśnej. Oczywiście po powrocie nikomu się nie przyznałem jaką miałem nauzkę w Lublinie i udawałem dobrego „fachurę”, któremu byle co się nie popsuje.

W Leśnej nie korzystałem z dostarczonego mi agregatu, ponieważ szkoła była zasilana z własnej elektrowni obsługiwanej przez zamieszkałego w budynkach szkolnych, p. Mankiewicza. Ten mechanik, trochę przygłuchy, codziennie po południu uruchamiał silnik – jednocylindrowy, dieslowski PERKUN, włączał najpierw pompy i uzupełniał wodę w zbiornikach nad internatem, a następnie przełączał napęd na dynamo wytwarzające prąd. Czasami p. Mankiewiczowi zdarzało się gdzieś wyjechać i trzeba było za niego wykonać wymagane czynności. Pan Mankiewicz wybrał na swego pomocnika mnie. Trochę mnie przeszkolił i gdy była potrzeba starałem się wykonać wszystkie czynności tak jak mój nauczyciel. Silnik uruchamiało się na knot, czyli we wkręcanym do głowicy uchwycie, wkładano się kawałek zwiniętej szmaty, namoczonej w ropie i podpalonej. Po chwili gdy szmatka rozżarzyła się odpowiednio, zakręcało się uchwyt w głowicy i silnym ruchem kołem zamachowym uruchomiło silnik.

I tak leciał czas pomaluszku dzień za dniem wg ustalonego schematu – pobudka, mycie poranne, wymarsz na śniadanie, potem apel,

a propos samego apelu. Tradycyjnie, jeżeli pogoda na to pozwalała, apel odbywał się przed wejściem do szkoły, wokół ogrodzenia placu z masztem i... i tu pragnę coś wyjaśnić. Na placu tzw. apelowym stał maszt, na który wciągało się flagę państwową. W pierwszych latach mojej bytności w szkole, obok masztu znajdował się głaz z wrytym napisem: OJCZYŹNIE W ROCZNICĘ NIEPODLEGŁOŚCI UCZNIOWIE SEMINARIUM 11-XI-1934. W dwa lata później, pewnej nocy, głaz zginął, po prostu wieczorem był, nazajutrz rano nie było. Nie wiem za czyją zgodą głaz usunięto z placu apelowego. Wszystko odbyło się bez większego rozgłosu, było i nie ma.

Pragnę przypomnieć, że na terenie szkoły bardzo prężnie działał Związek Młodzieży Polskiej. Wielu członków zrzeszało Towarzystwo Przyjaźni Polsko - Radzieckiej. Większość nauczycieli było członkami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Aktywiści prześcigali się w czynach społecznych, zobowiązaniach. Organizowano wiece, masówki, akademie „ku czci” i „z okazji”, podejmowano akcje i czyny, i wiele, wiele innych. I tam, wśród najgorliwszego aktywu, powstała myśl pozbycia się „reliktu sanacyjnej propagandy” czyli głazu upamiętniającego wyzwolenie Ojczyzny. Nocą grupka zaufanych działaczy ZMP-owskich, zaopatrzona w łopaty, usunęła z niewielkiego kawałka placu darń, wykopała w tym miejscu dół, przetoczyła głaz do dołu, zasypała ziemią, miejsce pokryła zdjętą darnią i w ten sposób zginęła z socjalistycznego otoczenia jeszcze jedna pamiątka po zgniłej sanacji. Cdn.

Henryk Kożuchowski  
(Zgorzelec, woj. dolnośląskie)  
Fot. ze zbiorów autora

## Hafciarka ze Studzianki

Małgorzata Bańkowska (Tokarska), córka Jana i Marii, pochodzi ze Studzianki. Ukończyła technikum rolnicze i osiadła w Białej Podlaskiej. Od 15 lat zajmuje się niecodziennym jak na obecne czasy zajęciem, a mianowicie hafciarstwem. Tworzy haft krzyżykowy. Główny materiał, z którego korzysta to mulina i kanwa. To jej mama (Maria) nauczyła ją ściegów i jest to swego rodzaju powrót do rodzinnej tradycji, to także hobby, które uspokaja i odpręża. To taka terapia - zaznacza artystka. Udało się jej zarazić swoją pasją kilka osób. Wykonuje w zaciszu domowego kąta obrusy, serwetki, jarka styropianowe oplatane taśmami i szpilkami, aby dobrze się trzymały. Podkreśla, iż w wykonaniu ważny jest dobór kolorów. Swoje prace wykonuje na prezenty. Jak one powstają i co jest ich inspiracją? Odpowiedź jest prosta: „Podpatruję wzór i robię” - zdradza Małgorzata Bańkowska (Tokarska). Jej wyzwaniem jest stworzenie portretu córki. Jest to bardzo czasochłonna praca, ale wierzy, że jej się to uda. Podkreśla, że lubi wyzwania. Swoim pracom poświęca

dużo czasu. Bywa i tak, że nawet w podróż bierze hafty. Wśród jej prac przeważają motywy krajobrazu oraz symbole roślinne. Jak przyznaje, wykonała około 100 prac. Pierwszym jej dziełem była poduszka dziecinna. Robi serwetki na szydełku i bieźniki wyhaftowane krzyżykami. Wiele prac, które wytworzyła czeka jeszcze na oprawę. Inspirują ją także motywy religijne i w związku z tym spod jej rąk wychodzą śliczne metryczki i pamiątki ślubne. Nie określa swojej pracy ilościowo, ponieważ wszystko zależy od dnia. Wśród jej prac warto wymienić: „Sianokosy”, „Zachód słońca”, „Modlitwa”, „Jezus w koronie”, „Zachód słońca zimą”, „Słonecznik”, „Tulipany”, „W dolinie”, „Dzieci na śniegu”. Z nich najbardziej wyróżnia się pracą „Sianokosy”, ponieważ jest to dzieło składające się aż z 91 960 krzyżyków! Pasja p. Małgorzty Bańkowskiej jest przykładem jej zamiłowania do haftu, w czym ujawniła swoje wielkie zdolności artystyczne.



Jedna z prac M. Bańkowskiej.

Łukasz Węda



Hafciarka wybiera też luźniejszą tematykę...

Fot. Łukasz Węda

## Tatarskie strzelanie

Członkowie Stowarzyszenia Rozwoju Miejscowości Studzianka w Dniu Dziecka przeprowadzili warsztaty łucznicstwa historycznego w Dąbrowie Białostockiej w województwie podlaskim. Na miejscowym stadionie blisko 200 uczniów poznawało zasady posługiwania się łukiem. Każdy miał możliwość spróbowania swoich sił w strzelaniu do celu. Z kolei Archiwum Państwowe w Lublinie Oddział w Radzynie Podlaskim, Archiwum Państwowe w Siedlcach oraz Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie Podlaskim zorganizowali 8 czerwca 2011r. w Radzynie Podl. spotkanie z tatarską przeszłością. W sali gimnastycznej liceum odbyła się prezentacja Artura Rogalskiego z Archiwum Państwowego



Tatarzynowie ze Studzianki

Fot. Ł.W.

w Siedlcach, w której ukazał on materiały archiwalne dotyczące Tatarów regionu białkopodlaskiego. Zwrócił szczególną uwagę na badania archiwalne. Wykład został wzbogacony o pokaz multimedialny najciekawszych dokumentów. Następnie zgromadzona na boisku młodzież brała udział w pokazie strzelania z łuku krymsko-tatarskiego w wykonaniu członków grupy „Tatarzynowie” ze Studzianki. Zaprezentowany został ubiór łuczników i ich osprzętowanie. Warsztaty poprowadził pracownik białskiego starostwa i pasjonat tematyki tatarskiej Łukasz Węda w towarzystwie Joanny Krywczuk ze Stowarzyszenia Rozwoju Miejscowości Studzianka.

Łukasz Węda

## Sztangista Tomek

Tomasz Ossowski mieszka w Studziane. Od kilku lat bierze udział w zawodach w wyciskaniu sztangi leżąc i coraz częściej odnosi znaczące sukcesy w tej dyscyplinie.

Tomasz Ossowski urodził się w Białej Podlaskiej. Obecnie mieszka w Studziance. Jest uczniem Zespołu Szkół Ekonomicznych w Białej Podlaskiej. Przygodę ze sportem zaczął jeszcze w gimnazjum, trenuje już kilka lat. Jest to, jak podkreśla sposób na spędzenie wolnego czasu. Pierwsze zawody w jakich wziął udział odbyły się 29.06.2007 roku w Łomazach, podczas Otwartych Mistrzostw Gminy Łomazy w Wyciskaniu Sztangi Leżąc. Startował w kategorii do 67,5 kg i zajął II miejsce. Wspomina, że wtedy otrzymał pierwszy medal za wyciśnięcie ciężaru o masie około 80 kg. Obecnie Tomek bierze regularnie udział w zawodach w regionie, m.in. w Międzyrzeczu Podlaskim, Konstancynie, Zalesiu, ostatnio także w Warszawie. Najważniejsze z zawodów w których brał udział, to Międzynarodowe Mistrzostwa Polski Federacji WUAP w Wyciskaniu Sztangi Leżąc. Trenuje około 6 godz. tygodniowo a cykl treningów zmienia co 6 tygodni. Trenuje sam w domu na własnym sprzęcie a czasami w Łomazach i sporadycznie w Białej Podlaskiej. Wzorem Tomka jest Rafał Zawadzki, którego widział na zawodach w Zalesiu i Warszawie. W odpowiedzi co czuje podczas podnoszenia ciężaru - nie myślę o wyniku, wszystko wyjdzie w trakcie zawodów. Dodaje kolejne kilogramy na sztangę i w rezultacie wynik się pojawi. Tomek chciałby się rozwijać i mieć profesjonalny sprzęt, którego ze względu na brak środków finansowych mu brakuje. Treningi i wyjazdy indywidualnie są bardzo ciężkie. Młody chłopak ze Studzianki reprezentuje nie tylko swoją miejscowość, ale i region na zawodach. Warto wspierać i pomagać rozwijać takie talenty. Być może dzięki tej publikacji znajdą się ludzie dobrej woli, którzy wspomogą w jakikolwiek sposób

Tomka w jego pasji. Chłopak ma motywację i chęć do ćwiczeń. Udowadnia, że można mieć swoje zainteresowania, rozwijać je i to mu przynosi satysfakcję. Najważniejsza jest systematyczność, jak dodaje na zakończenie mój rozmówca. Dieta wysokobiałkowa też odgrywa ważną rolę w ćwiczeniach. Tomek chciałby aby było organizowanych więcej zawodów u nas w regionie. Marzą mu się zawody w wyciskaniu sztangi w rodzinnej Studziance. Fajnie by było wziąć udział nawet w zawodach typu Strong Men aby pokazać się innym i rywalizować na oczach mieszkańców rodzinnej miejscowości. Jest to do spełnienia jeszcze w tym roku i miejmy nadzieję, że na lipcowym Strong MEN Studzianka, Tomasz pokaże się jak z najlepszej strony. Sukcesy Tomka można wyliczać i wyliczać. W ciągu zaledwie 3 miesięcy osiągnął fantastyczne wyniki: I m-ce w kategorii do 20 lat w XIII Integracyjnym Turnieju Siłowym w Janowie Podlaskim 16.04.2011r., II m-ce w kat. do 75 kg z wynikiem 135 kg w XIII Integracyjnym Turnieju Siłowym w Janowie Podlaskim 16.04.2011 r., I m-ce w kat. do 80 kg chłopców z wynikiem 140 kg w zawodach w Białej Podlaskiej 15.04.2011 r., IV m-ce z wynikiem 130 kg w II Mistrzostwach SFD.PL i SDW w Wyciskaniu Sztangi Leżąc 14.05.2011r., III m-ce w kat. do 75 kg z wynikiem 120 kg w II Międzynarodowych Mistrzostwach Polski w Wyciskaniu Sztangi Leżąc w Zalesiu 10.04.2011 r., II miejsce w kat. do 77 kg z wynikiem 135 kg w VIII Turnieju Siłowym w Konstancynie 26.03.2011 r.. Powodzenia Tomku w rozwoju i dalszej karierze, abyś się dalej spełniał i realizował. Ważne jest jak robi się to, co się lubi.

Łukasz Węda



## KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ



Artykuł z jednej z francuskich gazet:  
„Polska. Oto znajdujemy się w świecie absurdu. Kraj, w którym co piąty mieszkaniec stracił życie w czasie drugiej wojny światowej, którego 1/5 narodu żyje poza granicami kraju i w którym co 3 mieszkaniec ma 20 lat. Kraj, który ma dwa razy więcej studentów niż Francja, a inżynier zarabia tu mniej niż przeciętny robotnik. Kraj, gdzie człowiek wydaje dwa razy więcej niż zarabia, gdzie przeciętna pensja nie przekracza ceny (!) trzech par dobrych butów, gdzie jednocześnie nie ma biedy a obcy kapitał się pcha drzwiami i oknami. Kraj, w którym cena samochodu równa się trzyletnim zarobkom, a mimo to trudno znaleźć miejsce na parkingu. Kraj, w którym rządzą byli socjaliści, w którym święta kościelne są dniami wolnymi od pracy (!) Cudzoziemiec musi zrezygnować tu z jakiejkolwiek logiki, jeśli nie chce stracić gruntu pod nogami. Dziwny kraj, w którym z kelnerem można porozmawiać po angielsku, z kucharzem po francusku, ekspedientem po niemiecku a ministrem lub jakimkolwiek urzędnikiem państwowym tylko ko pośrednictwem tłumacza. Polacy..! Jak wy to robicie..?”

Z pamiętnika amerykańskiego żołnierza:  
„Dzień pierwszy. Popiłem trochę z Polakami. Dzień drugi. Chyba koniec ze mną. Umieram. Dzień trzeci. Polacy znowu wyciągnęli mnie na wódkę. Dzień czwarty. Szkoda, że przedwczoraj nie umarłem”

Mówi wnuk do dziadka:  
- Kiedyś to mieliście źle. Nie było Internetu, komórek, czatu ani gadu-gadu... Jak ty w ogóle babcię poznałeś???

- No jak nie było? Wszystko to było - odpowiada dziadek.

- Ale jak to?

- No przecież, babcia mieszkała w internacie, jak wracała ze szkoły to stałem na czatach, wychodziłem i z babcią gadu-gadu, a gdyby nie komórka to i twojego ojca by nie było.

Student przychodzi na egzamin z logiki i na bezczelnego pyta profesora:  
- Pan się łapie w tej logice, Panie Profesorze?

- Oczywiście, co za pytanie?

- To ja mam taką propozycję, Panie Profesorze. Zadam Panu pytanie i jeśli Pan nie odpowie - stawia mi pan 5, a jeśli Pan odpowie - wywala mnie Pan na zbity pysk.

- OK. Niech Pan pyta.

- Co obecnie jest legalne ale nielogiczne, logiczne - ale nielegalne, a co nie jest ani logiczne ani legalne? Profesor nie znał odpowiedzi postawił studentowi 5. Woła zatem swojego najlepszego studenta i pyta go o odpowiedź. Ten mu natychmiast odpowiada:  
- Ma Pan 65 lat i jest Pan żonaty z 25 letnią kobietą, co jest legalne, ale nie logiczne. Pana żona ma 20 letniego kochanka, co jest logiczne ale nie jest legalne. No i stawia Pan kochankowi swojej żony piątkę chociaż

powinno go Pan wywalić na zbity pysk - to właśnie nie jest ani logiczne ani legalne...

Lecą ludzie samolotem. Nagle z głośnika głos pilota.  
- Proszę państwa, proszę się nie denerwować, mamy małą awarię. Proszę przejść na lewą stronę samolotu i spojrzeć przez okienka. Ludzie przechodzą na lewą stronę, samolot się przechyla, a pilot:  
- Jak państwo słusznie zauważyli, lewy silnik płonie.  
Mała panika na pokładzie ale od czego drugi silnik... Za chwilę jednak znów głos...  
- Proszę państwa, a teraz spokojnie, powoli proszę przejść na drugą stronę samolotu i spojrzeć przez okienka... Ludzie już bardziej podenerwowani przebiegają na drugą stronę;  
- Jak widać proszę państwa, drugi silnik również płonie...  
Panika zaczyna wybuchać na pokładzie...  
- A teraz proszę spojrzeć w dół. Wszyscy przylepili się do okienek.  
- Jak widać, pod nami rozpościera się duże, piękne jezioro, a pośrodku widać mały żółty pontonik. Z małego żółtego pontonika mówiła dla państwa załoga samolotu...

Wybrał S.H.

## W SKRÓCIE

\*\*\*

Nowym sołtysiem Studzianki została Mirosława Jaśkiewicz, która w wyborach otrzymując 38 głosów pokonała poprzedniego sołtysa Józefa Szenejko (13 głosów.) Do Rady Sołeckiej zostali wybrani: Kazimierz Rozwadowski, Leszek Olichwirowicz, Mirosława Brodacka, Tomasz Hryniewicz i Henryk Owczaruk. Gratulujemy i życzymy owocnej pracy społecznej. Ponadto na zebraniu wiejskim przyjęto Plan Odnowy Miejscowości Studzianka. Został on przyjęty przez Radę Gminy Łomazy 30.05.2011 r.

\*\*\*

15 maja 2011 roku w świetlicy w Studziance odbyły się bezpłatne warsztaty z wikliniarstwa, które poprowadzili członkowie Fundacji Kreacja Magia Rąk.

\*\*\*

Staraniem mieszkańców Studzianki odnowiono wnętrze świetlicy w Studziance. Zfunduszy sołeckich wymieniono instalację elektryczną i pomalowano dużą salę oraz kuchnię. Wszystkim zaangażowanym serdecznie dziękujemy za pomoc i poświęcony czas

\*\*\*

Stowarzyszenie otrzymało w ramach darowizny księgozbiór poświęcony historii regionu i Tatarom przez żonę nagle zmarłego prof. Arkadiusza Kołodziejczyka, Panią Agnieszkę Kołodziejczyk. Serdeczne podziękowania dla Sławomira Hordejuka za pomoc

w przywiezieniu książek.

\*\*\*

Podczas II Powiatowej Parafiady Dzieci i Młodzieży w Łomazach 8 maja 2011 roku mieszkańcy Studzianki stawali na podium

-W biegach przełajowych kat. dziewcząt rocznik 2000-2001, II miejsce zajęła Paulina Szenejko.

-W biegach przełajowych kat. chłopców rocznik 2000-2001, II miejsce zajął Damian Zajac.

-W biegach chłopców rocznik 1998, bezkonkurencyjnie wygrał Daniel Popławski.

-W klasach gimnazjalnych II miejsce kat. dziewcząt rocznik 1995-1996, zajęła Wioleta Niedźwiedź.

-Wśród chłopców kat. Gimnazjum, Paweł Bujalski był drugi.

\*\*\*

21.05.2011 roku na odbywających się w Rossoszu Mistrzostwach LZS w piłce nożnej w drużynie Orlika Łomazy, która zajęła ostatecznie 4 miejsce grali Paweł Krywczuk i Kamil Łukaszuk ze Studzianki.

\*\*\*

20.04.2011 roku Paweł Bojarczuk zajął drugie miejsce w biegu na 1000 m. podczas Biegów Katyńskich, które odbyły się w Terespolu.

Opracował: Łukasz Węda

## STOPKA REDAKCYJNA

Kwartalnik redagują:  
Sławomir Hordejuk, Łukasz Radosław Węda  
Współpraca: Anita Kukawska  
Skład graficzny: Kamil Łojko Nakład: 1000 egz.

Stowarzyszenie Rozwoju Miejscowości Studzianka  
Studzianka 42, 21-532 Łomazy  
kom. 501 266 672  
e-mail: stowarzyszeniestudzianka@tlen.pl